

**ELIZA
ORZESZKOWA**

SIELANKA
NIERÓŻOWA

Eliza Orzeszkowa

Sielanka nieróżowa

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843326

Sielanka nieróżowa:

Аннотация

Opowieść o tym, czy można oszukać swoje przeznaczenie. Nowele i opowiadania stanowią niezwykle istotną część twórczości Elizy Orzeszkowej. Niektóre z nich są bardzo realistyczne i smutne, ukazują ciemną stronę ludzkiego życia. Sielanka nieróżowa jest utworem opowiadającym historię Marcysi i Władka. Dziewczynka wychowuje się z matką alkoholizką, nic nie wiadomo o jej ojcu. Władek natomiast mieszka ze swoją ciotką, jego matka nie żyje, a ojciec nie chciał się nim zajmować w pojedynkę. Spotykają się jako kilkuletnie dzieci i od razu nawiązują ze sobą kontakt, zaprzyjaźniają się. Władek otacza młodszą koleżankę opieką i obiecuje jej, że kiedy dorosną, weźmie ją za żonę. Czy zrealizuje swoje obietnice? A może zgodnie z przepowiednią matki Marcysia powtórzy jej los i skończy jako sprzątaczką i pijaczką, nieszczęśliwa i nieradząca sobie z nałogiem? Dowiedcie się z Sielanki nieróżowej.

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

28

Eliza Orzeszkowa

Sielanka nieróżowa

Z szerokich i ludnych ulic miasta, ku krętym i cichym uliczkom zarzecznego przedmieścia, biegła dziewczynka dziesięcioletnia, chuda, zwinna, w grubej spodnicy przepasującej podartą koszulę, z bosemi stopami i ogromnymi włosy, wśród których mieszały się połyski złota i miedzi.

Biegła szybko, czarne, zapadłe oczy, szeroko otwierała i od chwili do chwili, podnosząc, to opuszczając ramiona, zdawała się trzepotać niemi, jak ptak skrzydłami. Od chwili do chwili też wołała:

– Władek! Władek!

Nagle przed biegnącą tak dziewczynką ozwał się szept stłumiony, lecz gwałtowny:

– Stój! ptaki mi spłoszysz! stój-że, Marcysiu! cicho!

Stała jak wryta. Cała twarz jej, zniecierpliwiona i zmęczona przed chwilą, drgnęła uśmiechem radości, a szeroko rozwarte oczy utkwily w istocie ludzkiej, która stłumionemi wykrzykami nakazywała jej spokój i milczenie.

Był to chłopak o lat parę od niej starszy, z odzieży wyglądający na ulicznego obdartusa, z twarzą roztopną, przebiegłą nawet, z siwem okiem, pałającym pod brwią żółtopłową. Stał on, plecami przyciśnięty do płotu, z jednej strony osłonięty przed wzrokiem przechodniów ścianą szarą jakiejś budowy, z drugiej

grubym pniem uschłój topoli; twarz podniósł wysoko, oczy z rozżarzoną źrenicą wlepił w dach przeciwległego domowstwa, a pod ramieniem trzymał gołębia o ceglasto-różowych skrzydłach, który przenajspokojniej znajdując się, podnosił też dziób, patrzył na dach przeciwległy i kiedy niekiedy tylko, odzywał się cichém, urywaném gruchaniem.

Na dachu przeciwległym siedziało liczne stado gołębi.

Uliczka przedmiejska, niebrukowana i trawą porośła, cichą była i w téj chwili prawie bezludną. Gdzie niegdzie za płotami pracowali w ogrodach ludzie, za oknami odzywało się stukanie, lub zgrzytanie rzemieślniczego narzędzia, tu i owdzie rozległ się swar jakiś, czasem śmiech, ale ulicą nie przechodził i nie spoglądał na nią nikt. Przedwieczorna cisza ta przyjazną snadź była dla zamiarów chłopca czatującego widocznie na coś, z gołębiem pod ramieniem. Zrozumiała to Marcysia i, na palcach skradając się zbliżyła się do chłopca, stanęła tuż przy nim i z ciekawością połączoną z odcieniem obawy, utkwiała wzrok w stadzie ptactwa, obsiadającym dach przeciwległy.

– Władek – szepnęła cichutko – czy one jeszcze nie podlatywały?

– Nie jeszcze! – odszepnął chłopak. – Bodaj ich **korszun**¹ zdusił! – zaklął po chwili – siedzą i siedzą!

– A **przewodnika** masz? – zapytała Marcysia.

– No, a jakże!

¹ *korszun* – tak lud nazywa w niektórych stronach kraju pewien gatunek jastrzębi.
[przypis autorski]

I wysunął nieco z pod ramienia różowego gołębia, ukazując go Marcysi. Dziewczynka przesunęła drobną, ciemną dłoń po jedwabistém skrzydle ptaka.

– Lubuś! Lubuś! oj ty Lubuś! – szeptała, zbliżając usta ku jego dziobowi.

– Wiész? – tajemniczo i wciąż patrząc w górę, szeptał chłopak – szewczysko to umie dobrze gołębie hodować! Ile mu już ich Lubuś mój uprowadził... żebym tyle rubli miał, panem był-bym! a dlatego gołębi u niego coraz więcej! No, już ja im w tym roku poradzę!... Jak chcę być bogatym, uprowadzę wszystkie i tylko dwie pary na rozplód zostawię; niech szewczysko pęka ze złości! Co on mi zrobi!

Zaledwie dokończył wyrazy te, kilka gołębi siwych i białych wzleciało z nad dachu i prostopadłym lotem wzbiło się w górę. Chłopak drgnął.

– Ruszajcie się, dziatki! no, ruszajcież się! – zawołał prawie głośno.

W chwilę potém obsiadające dach stado całe zerwało się jednocześnie i napęliło powietrze migotaniem i szelestem skrzydeł, a chłopak w obie ręce ujął różowego gołębia swego, który drżał téż jakby z niecierpliwości, podniósł go jak mógł, najwyżej i rzucił w przestrzeń; ptak rozwinął szeroko skrzydła i błyskawicznym pędem wpadł w migotliwą i choralnie gruchającą chmurę gołębi. Wtedy zaczęły odbywać się w powietrzu łowy i porozumiewania się szczególne.

Przy zbliżającym się wieczorze, niebo miało barwę liliową

i usiane było szmatami obłoków, które blask słońca za mury miejskie zachodzącego, złocił i czerwienił. Pomiedzy gromadą jaskrawych, wełnistych chmur, rozsianych pod bladém niebem, a długim dachem domostwa, na którym rósł mech starości i leżały gałęzie kilku drzew rozłożystych, odbywały się napowietrzne igrzyska ptasie, przedstawiające gołębia-mistrza, usiłującego wywieść z pomiędzy stada i za sobą uprowadzić potulnych i nieuczonych spółbraci. Śród migotliwej chmury białych i siwych skrzydeł, różowy „przewodnik,” skąpany w jaskrawym blasku obłoków, niby skrzydlaty płomień krążył i podlatywał, drogę zabiegał, skrzydłami o skrzydła uderzał, mieszał się z ogólném kołem, to z niego wyosabniał, w oczy zda się towarzyszom zaglądał, gruchając namawiał, jakby prosił za sobą, drogę wskazywał... Stado skupiało się wokół niego, to rozpraszało trwożnie, lub swobodnie osiadało na dachu i kołyszających się pod nié m gałęziach drzew, to znowu wzbijało się w lot wysoki i zawisało nieruchomo pod złotemi chmurami.

A gdy tak działo się w górze, na dole, pod bladawém ogrodzeniem wąskiej uliczki, pomiędzy węglem szarego spichrza a pniem uschłego drzewa, dwoje dzieci stało, ściśle tuląc się ku sobie, wzniesionemi w górę oczyma ścigając każde poruszenie ptaków, ciężko i szybko oddychając. Na obie dziecinne twarze ich wybiły się gorączkowe rumieńce i można było nieledwie słyszeć gwałtowne bicie ich serc.

Były to istne łowy, ale szczególne. Zamiast lasów cienistych lub rozległych błoni, polem ich była ciasna uliczka przedmiejska

i powietrze złote od przedwieczornych świateł. Zamiast świetnych, strojnych myśliwców było tu dwoje dzieci obdartych i bosych, kryjących się za drzewa, z drżącymi wargami i pałającym, namiętym wzrokiem. Sokoła zastępował tu różowy gołąb', Lubuś, a zdobyczą miały być także gołębie, których uprowadzanie za pomocą hodowanych w tym celu „przewodników” stanowi rozkosz, chlubę i źródło dochodu ulicznych dzieci.

Nagle, przyciszonym, lecz radością nabrzmiętym głosem, Władek zawołał:

– Aha! prowadzi!

Marcysia podskoczyła parę razy tak, jakby ku gołębiom zrywała się do lotu i szepnęła także:

– Prowadzi! prowadzi! prowadzi!

Lubuś wyosobnił się z pomiędzy stada i, uleciawszy niewielką przestrzeń, zawisł w powietrzu. Chwilę tylko pozostał samotny. Od stada odłączył się ku niemu i pozęglował jeden naprzód, potem drugi, trzeci, czwarty gołąb'. Leciąły sznurem, a potem okręzały przewodnika po wiele razy i coraz ciaśniejszym kołem. Gdy w ten sposób utworzyła się spora już gromadka, odosobniona od wielkiej gromady, która teraz cicho, niby w zamieszaniu czy smutku, na dach omszony opadła, Labuś wzbił się wyżej i szybkim lotem pomknął ku zielonej ścianie jaru, ukazującej się w dali z za szarych domowstw. Za nim lecieli uwiedzeni przez niego towarzysze. Było ich sześciu.

– Sześć! sześć! – klaszcząc w dłonie, zawołał chłopak, i z całą

szybkością nóg swych zwinnych i nieobutych, puścił się uliczką, skręcił potem na inną, i znowu na inną, dla skrócenia sobie drogi, przeskakiwał płoty, zdawało się, że lotem ptaka chciał-by osiągnąć zielonej ściany jaru. Za nim biegła Marcysia, z całej siły zdyszanej piersi krzyząc:

– Sześć! sześć! – a potem: – Władek! poczekaj! stój!

Ale Władek nie stawał i nie czekał na nią, a ona, mniejsza i słabsza, zdawała się co chwila upadać ze zmęczenia. Lecz szczęśliwy wynik polowania nappełnił ją nieprzytomną prawie radością, która podnosiła ją jakby z nad ziemi.

Tak zdyszane, rozognione, z błyszczącymi oczyma i rozwianymi na wiatr włosy, po przez uliczki, podwórka i ogrodzenia, dzieci te biegły tam, kędy górą, wysoko po nad niemi, leciał sznur gołębi ku zielonemu jarowi i wiszącej u ściany jego, szarej chatce z niskim płotkiem, pnącym się w górę i otaczającym mały, mizerny ogródek. Jar, chatka, płotek i ogródek, ukazały się w dali... w dali... pod samym już skłonem liliowego nieba i w siniej mgłę oddalenia, w której po chwili zniknęły gołębie i dzieci.

Dziwne to było miejsce, dzikie, choć znajdowało się w obrębie jeszcze ludnego miasta, świetliste i ciemne zarazem. Mgła, w której ukazywało się ono z oddali, nie powstawała z samej tylko odległości, ale podnosiła się też z nad sadzawki, nieruchomo zalegającej dno jaru, a nad którą w jednym miejscu rosło kilka bardzo starych wierzb. Drzewa te miały pnie grube, w różne strony pokrzywione, i szeroko rozpostarte obwisłe

gałęzie, któremi muskały zielonawą powierzchnią wody. W przedwieczorniej porze, głębia ta jaru pogrążała się już w grubym zmroku; za sadzawką tylko i wierzbami, przez wązki otwór dwóch ścian wysokich, przeglądało złote jeszcze od słońca pole, i kiedy niekiedy przybywający ztamtąd promyk, przedzierając gęste cienie, spadał na wodę lub wił się w berberysach, głogach i dzikich agrestach, rosnących tam gajem niskim i kolczatym. Ale z pomiędzy niskiego gaju tego, zrzadka rozświetlanego błędnym promieniem słońca, wybiegała wązka ścieżka, wydeptana i bielejąca wśród trawy, i wspinała się po jednej ze ścian jaru, kędy było coraz widniej, aż ku domkowi z ogródkiem i płotkiem, oblewanemu już w pełni wszystkimi światłościami rozjaskrawionych przedwieczornych obłoków. Małe okna domku tego, czy téj chatki, czerwone były jak rubiny, w których przegląda się płomień; płotek wydawał się ognistym węzem, a rosnące w ogródku dwie mizerne grusze trzęsły liśćmi, jak kroplami złotej rosy. Naprzeciw, za przeciwległą, odginającą się w tył, ścianą jaru, na stoku wysokiej góry, stało miasto rozległe, za którego murami, słońce skryło się już zupełnie. Ale u szczytów wież kościelnych, krzyże paliły się, jak lotne płomyki, wszystkie okna domowstw drżały złotem i purpurą, zieleni ogrodów kapała się w falującym morzu światła, z kominów dymy ulatywały tysiącem wstęg różowych, sinych, srebrnych i płynęły ku górze, kędy w cichym spokoju stały się pod bladym niebem lekkie i świetne puchy obłoków.

W chatce, wiszącej u ściany jaru, nie było snadź nikogo,

bo za rubinowemi okienkami panowała cisza zupełna. Nagle załopotwały w powietrzu skrzydła; górą przeleciały gołębie i sznurem usiadły na dachu chaty. W téjże prawie chwili, na ścieżce, wiodącej ku przedmieściu, zatętniał bieg szybki; Władek zziajany, z włosem rozwianym i rozwartą u piersi koszulą, przypadł do węgła chaty, wyciągnął w górę ramiona i, w mgnieniu oka z chyżością i zwinnością kocią, wdarłszy się na ścianę, stanął na dachu. Wtedy ukazała się téż biegnąca ścieżką Marcysia i, bez tchu prawie, z widoczną wprawą w tego rodzaju ćwiczenia, czepiając się wystających belek ściany i gałęzi rosnącego tuż młodego drzewka, poszła w ślady towarzysza. Po chwili stali oboje na dachu chaty i, szeroko, prędko oddychając, głośno śmiać się zaczęli.

– Oto udało się! – zawołał Władek.

– Udało się! – powtórzyła dziewczynka i, schyliwszy się, wzięła w obie dłonie różowego gołębia-przewodnika.

– Dobry Lubuś! kochany Lubuś! – mówiła przerywanym jeszcze od zmęczenia głosem i całowała jedwabiste skrzydła i czupurną główkę ptaka.

Władek tymczasem oddawał się praktyczniejszemu zajęciu. Otworzył klapę, zamykającą drewniany, o wąziem okienku, rodzaj gołębnika, na-pół okrytego zielskiem i latoroślami, obrastającymi starą strzechę dachu, i poumieszczał w nim wszystkie z kolei, za Lubusiem przybyłe, gołębie. Skończywszy, zamknął klapę i usiadł.

Dach był dość spadzisty, ale dzieci wygodnie siedzieć na

nim mogły, bo starość wyłamała go w zagłębienia i wypukłości liczne. Plecami wsparci o mały gołębnik, nagie stopy oparły o giętkie płonki wierzbowe, które zasiał tam wiatr, nanoszący co roku warstwą piasku szczyt stariej chaty.

– Ot i dobrze! – zaczął Władek – stariej w domu niema, to i nic wiedzieć nie będzie o naszych dzisiejszych gościach... gdyby wiedziała, toby mnie, jak zawsze, męczyła: „a gdzie pieniądze, coś wziął za gołębie?” I oddać-bym musiał choć połowę... A tak, jutro sprzedam i nic nie oddam!...

– A co ty z temi pieniędzmi zrobisz? – zapytała Marcysia.

– Ot co? najem się i piwka sobie wypiję... takim zawsze głodny, że aż strach... Stara dziś kiełbasę jadła i piwo piła, a ja tylko, patrząc, ślinkę łykałem... taka już ona... mnie kawałek suchego chleba da i krupniku czarnego odrobinę, a sama i ze znajomymi swymi hula sobie!

– Aj, zapomniałam! – zawołała nagle Marcysia.

– Czegoś zapomniała?..

Zamiast odpowiedzi, dziewczynka wyjęła z za koszuli dwa duże obwarzanki i, śmiejąc się na głos cały, pokazała je chłopcu.

Wyciągnął po nie rękę.

– Daj! – zawołał.

– Czekaj! dam sama! ot masz!

I oddała mu jeden z obwarzanków, a drugi chciwie do ust własnych poniosła.

– Jezu! Marya! dobrze, że nie zgubiłam! – zawołała po chwili.

– Aha! – odpowiedział Władek – mogłaś zgubić! leciałaś, jak

waryatka!

Dziewczynka pochyliła się i figlarnie mu w twarz spojrzała.

– A co? – zapytała – smaczne?

Władek skrzywił się.

– Nie bardzo! – odrzekł – ale co robić! Kiedy taka już niedola nasza, to i suchy obwarzanek lepszy, niż nic! a zkąd ty to wzięłaś?

Wyciągnęła palec w kierunku miasta.

– Tam, na ulicy, jakaś pani dała mi trzy grosze, to i kupiłam...

– Żebrałaś? – zapytał chłopak.

– A jużci!

– No, no! – mówił, wstrząsając głową – jakie te dziewczyny szczęśliwe! im zawsze prędziej dadzą, niż nam... Mnie już dawno nikt nic dać nie chce...

– Bo ty już wielki, a ja jeszcze mała.

– Wielki! ot szczęście! to i więcej jeść mi trzeba... a zkąd ja wezmę... Stryj ciągle gada, że do rzemiosła mię odda, ale obiecanka cacanka a głupiemu radość... I co mi tam zresztą rzemieślnikiem być? ot żeby tak panem sobie zostać, to co innego...

Marcysia nic nie odpowiedziała. Gryzła obwarzanek, a po chwili wyciągnęła palec w kierunku jednego z mniejszych domów miejskich i zawołała:

– O! widzisz! to dom pana ogrodnika, który ciebie przeszłego roku do kopania najmował. Ot tam to ślicznie! aj! jak ślicznie!

– A ślicznie! – potwierdził Władek – bo ogrodniczysko strasznie bogate! jak ja będę bogatym, to sobie ten dom kupię.

A po chwili dodał:

– Z tobą ożenię się i będziemy tam sobie razem mieszkać!...

Dziewczynka uśmiechnęła się.

– O, to dobrze będzie! – rzekła i poważniej zapytała:

– A z kąd ty, Władek, weźmiesz bogactwo?

Władek zamyślił się, a potem odpowiedział:

– Albo ja wiem z kąd? ale, że z kądciś wziąć muszę, to muszę.

Tak mi już zbrzydło to psie życie... że aż...

Splunął, a potem prawił dalej:

– Bo czy sprawiedliwie na świecie? jeden ma wszystkiego po uszy, a drugi nic... jeden paniczem sobie jest, nie wiadomo za co, a drugi takim ot obdartusem, jak ja... także niewiadomo za co! Ciotka wymawia ciągle, że tylko karmić mię musi, a nic ze mnie nie ma? Ciekawym, co ona ze mnie może mieć? W przeszłym roku kopałem po ogrodach i zielsko taczkami wozilem, to i cóż? czy lepsza dla mnie była? gdzie tam! jeszcze, pod jesień jakoś, ojciec przywłókł się do chaty i wybił mnie... Ot dobrze tobie, że ojca nie masz... bił-by...

Marcysi usta zadrżały jakby do płaczu.

– Matka bije... – szepnęła.

– Ej, to tylko czasem, jak upije się! – pocieszał Władek – a jak trzeźwa, to całuje, piosenek uczy i bajki gada... mnie nigdy nikt dobrego słowa nie powie... Aj nędza!.. Ot tak czasem człowiek ze zgryzoty rzucił-by się w tę sadzawkę...

– Aj, aj! – przeraźliwie krzyknęła Marcysia.

Władek spójrzył na nią ze zdziwieniem.

– Czego wrzeszczysz? – zapytał.

– Tak przeleżałam się! – skarżyła się dziewczynka – żebyś ty rzucił się w sadzawkę, tobyś utonął i umarł.

– No, a jakbym umarł, to i co?

Marcysia przerażonymi oczyma wpatrzyła się w niego.

– To... to... toby ciebie nie było... – odpowiedziała cicho.

– Nie było mnie, był świat, nie będzie mnie, będzie świat – przypatrując się bosym nogom swym, sentencjonalnym tonem odparł chłopiec, ale spójrzał potem na Marcysię i zawołał:

– No i czegoż tak oczy wytrzeszczyłaś... ot i becząc już zaczynasz... no, no – mówił dalej – nie lękaj się tak, nie utopię się... bogatym kiedyś będę i ożenię się z tobą... Będziem sobie jedli, pili, na spacer pod rękę chodzili i... ja ciebie nigdy nie opuszczę... aż do śmierci... tak mi Panie Boże dopomóż...

Łagodnym ruchem powiódł dłonią po ognistych jęj włosach, a potem wyciągnął się leniwie, obie ręce za głowę założył, i twarzą zwrócony ku obłokom, wlepił błyszczący wzrok w jeden punkt nieba. Szare oczy jego, ocienione płowemi brwiami, miały w tej chwili wyraz wcale niedzielinny. Odbijało się w nich marzenie jakieś niespokojne i namiętne. Po ściągłej, chudej twarzy przelatywały drgnienia i uśmiechy. Marcysia, pochylona nad nim, z twarzą opartą na dłoni, kołysała się z lekka i głęboko nad czémś myślała.

– Władek! – ozwała się z cicha po chwili.

– A co? – zapytał.

– Ja tobie jutro znów obwarzanek przyniosę, a może bułkę.

– Wyżebrzesz znów?

– Aha!

– Dobrze! przynieś! a może i papiruska gdzie znów znajdziesz, to przynieś, a ja jak gołębie sprzedam, kupię dla ciebie dwa cukierki.

– Aj, aj! cukierki! – zawołała i cała twarz jej stanęła w promieniach niewymownej radości.

– Władek – szepnęła znowu.

– A co?

– Ja jutro pójde do jaru, fartuszek berberysu nazbieram i na miście go sprzedam... czy ty pomożesz mi zbierać berberys?

– A czemu nie? pomogę.

– Jak sprzedam, to pieniądze ci oddam, kupisz sobie ładną chusteczkę na szyję.

– Ot chusteczkę! nie chusteczkę, ale haczyki do wędki! pójdziem do rzeki ryby łowić! dobrze?

Klasnęła w ręce.

– Aj, dobrze! dobrze!

Umilkli i wyprostowali się, bo w pobliżu dały się słyszeć stapania.

Słońce zaszło już całkiem. Na wieżach kościelnych pogasły płomienne krzyże, okna domów miejskich zczerniały, w dole, u stóp wysokiej ściany jaru z przyczepioną do niej chatą, na której dachu siedziało dwoje dzieci, czarno już było zupełnie, a wśród czerności téj drżały ciche szумы, cichsze jeszcze pluskania. W chłodną tę zapadlinę zalatywał już wiatr nocny i chwiejącymi się

gałęzmi wierzb mącił śpiącą wodę. Na ścieżce, od przedmieścia wiodącej, ukazała się w zmierzchu postać kobieca, niska, gruba, wielką chustą okryta i ciężkimi krokami zbliżała się ku chacie.

– Stara już idzie! – szepnął Władek – zaraz zawoła mnie... idź ty już sobie, Marcysiu, bo jak zobaczy nas na dachu, domyśli się zaraz, żeśmy gołębia przywiedli!

– Dobranoc! – szepnęła Marcysia.

– Dobranoc!

Zarzuciła mu na szyję ramiona i pocałowali się.

W chwilę potem, młode drzewko rosnące, przy ścianie chaty, zaszeleściło i zachwiało się; Marcysia zsunęła się z niego cicho, lekko jak cień, chyłkiem pomknęła pod niskim płotkiem i, okrążając zdala kobietę, idącą ścieżką, niepostrzeżona przez nią, zbiegła z pochyłości jaru i wolniej już dążyć zaczęła ku tłoczącym się tłumnie nad brzegiem rzeki domom i domkom przedmieścia. Idąc, poważnie skrzyżowała ramiona i najdonośniej, jak mogła, śpiewać zaczęła:

„Pod drzewem, przy drodze,
Spało sierot dwoje,
Drzewo się złamało,
Zabiło oboje, za-bi-ło oboje!”

Dziecinny głosik jój, podobny do srebrnego dzwonka, wzbijał się w górę i dolatywał ku chacie, której drzwi stara kobieta otwierała ze zgrzytem i stukiem.

– Władek! – krzyknęła, obracając klucz w zamku.

Chłopiec leżący na dachu milczał.

– Władek! – podnosząc głowę i starając się spojrzeć na dach, powtórzyła kobieta – chodziłeś dziś na gołębie, czy nie?

Władek milczał.

– Niema go tam, czy co? – mruzczała stara – pewno nic dziś nie upolował i chowa się teraz przede mną, albo może i po ulicach włóczy się... nicpoń... ulicznik... łotr jakiś...

Z ostatnimi wyrazami weszła do chaty i ze stukiem drzwi za sobą na klucz zamknęła.

– Nocuj-że sobie na podwórzu, kiedyś taki...

W tej samej chwili, z dołu i zmroku doleciał znowu cieniutki, lecz donośny i czysty głos, śpiewającej Marcysi:

„Oboje zabiło,

Oj, dobrze zrobiło,

Żadne nie zostało,

By z żalu płakało, by z żalu pła-ka-ło.

Władek z podniesioną głową i wyteżonym uchem słuchał, a gdy srebrny głosik zamilkł w oddaleniu rzekł:

– Oto śpiewa! aż dusza rośnie!



Z zarzecznego przedmieścia, z pomiędzy labiryntu domków i płotków, wychodziła czasem na miasto kobieta, nędznie

ubrana, dość młoda jeszcze i ładna snadź niegdyś, lecz teraz ze zniszczoną, wyżółkłą, zbolałą twarzą. Chód jej i ruchy były czasem zgrabne i pewnym nawet wdziękiem nacechowane, najczęściej jednak bezładne i chwiejne. Mieszkanki przedmieścia, gdy spotykały ją, idącą krokiem takim chwiejnym, z cklwym bo bezmyślnym uśmiechem na ustach, a gorączkowym ogniem w czarném, piękném snadź niegdyś oku, mawiały:

– Ot i znowu Elżbietka nasza dogodziła sobie!

– Upiła się! – dodawały inne i, śmiejąc się, wołały:

– Elżbietko! hej, Elżbietko! hulasz dziś sobie po świecie, a gdzie twoja Marcysia?

Czasem kobieta wstrząsnęła żałośnie głową i odpowiadała:

– O Bożeż, mój Boże! gdzie ona? alboż nie wiecie? nieboractwo tuła się po ulicach! Biedna dziecina moja, biedny mój robaczek maleńki...

I zaczynała na głos szlochać.

Nierzadko przecież wzmianka o córce, zamiast rozczulenia, wywoływała w niej gniew. Wtedy odkrzykiwała sąsiadkom:

– A lichu ją wieć, tę włóczęgę, gdzie ona włóczy się od rana do nocy! Na sznurku w chacie nie utrzymasz! Oj, żebym ja była dziewczyny téj...

Resztę dopowiadała niezrozumiałém, bełkotliwém mruzeniem i wchodziła do jednego z szynków, które wystawami butelek, błyszczących różnobarwnymi płyny, znaczyły każde załamywanie się podrzędnych ulic miasta.

Stan taki nie był przecież u Elżbietki zwykłym i ciągłym. Miewała ona niekiedy tygodnie i miesiące trzeźwości i pracowitości, podczas których posługiwała osobom, nie dość zamożnym, aby módz utrzymywać stałą służącą. Zamiatła mieszkania, myła podłogi, paliła w piecach, nosiła wodę, czasem nawet prała i szyła, a wszystkie czynności te spełniała z wielką wprawą, ochotą i zręcznością. Dla przymiotów tych, jak też może dla szczególnego wyrazu jój twarzy, bo w czarnych oczach jój leżał na dnie przepaścisty smutek, a w uśmiechu wywiedłych ust była miękka rzewność, lubiono ją powszechnie i ubiegano się o jój usługi. Niektórzy namawiali ją, aby przyjęła gdziekolwiek służbę stałą. Słyszac to, Elżbietka, spuszczała powieki i z cicha mówiła:

– Kiedyś... służyłam po domach i... było mi nieźle... ale teraz!... co to już o tém i mówić!

Zamiatając, albo ścieląc łóżka, patrzała w ziemię, a na żółtém czole jój powstawało kilka grubych zmarszczek. W rzadkich chwilach skłonności do wywnętrzania się, mówiła:

– A cóżbym ja z moją dziewczyniną zrobiła, gdybym w służbę poszła? Czy mię kto porządny weźmie do domu z dzieckiem, jeszcze z **takiem** dzieckiem?

A lękając się, aby słów jój nie wytłómaczono na niekorzyść Marcysi, dodawała ciszej:

– Ona to nie gorsza, jak inne dzieci... może nawet lepsza... rozumna bardzo... ale ot! urodziła się inaczej...

W porach tych, w których Elżbietka pracowała i do szynków

nie zachodziła, Marcysia rzadziej ukazywała się na ulicach miasta, a gdy się tam ukazała, była mniej chudą, brudną i obdartą. Nie zebrała też wtedy i unikała starannie hałaśliwych band ulicznych dzieci. Potem jednak przychodziły tygodnie i miesiące złe. Elżbietka przestawała chodzić na robotę do znajomych sobie domów, a mała Marcysia, zgłodniała znowu, zziębła i ołachmaniona, z sinemi śladami uderzeń na plecach i twarzy, zamieszkiwała znowu otwarty na wsze strony świat Boży, biegła za przechodniami ulic, prosząc o jałmużnę przyciszonym mručeniem czasem, a często, gdy była głodna, milczącym wyciąganiem drobnej dłoni i ze łzą, kręcącą się w przygasłej źrenicy; na śmietnikach, nad rynsztokami zaułków, w ciasnych szyjkach tajemniczych podwórek, siedząc, gryzła czarne jak noc kromki chleba, sypiała pod kościołami lub drzewami publicznych ogrodów, a gzymsy kościelne i gałęzie drzew osłaniały ją od deszczów i śniegów i, spowijając cieniem swym szczupłą, skurczoną jej postać, ukrywały ją też przed wzrokiem stróżów publicznego porządku.

Takie przecież noclegi pod kościołami i drzewami miejskimi zdarzały się w życiu nieczęsto, bo gdy obawa przed gniewnymi wybuchami nieprzytomnej matki, samotność i nuda, wypędzały ją z zimnego i ciasnego kąta, który nazywał się macierzyńskim jej domem; najmiłszą ochroną, były wierzby rosnące nad sadzawką w głębi jaru, albo miękki i elastyczny od starości dach chaty, w której mieszkała stara Wierzbowa, ciotka i opiekunka Władka.

Z Władkiem znała się, odkąd zapamiętać mogła, że żyje. Elżbietka bywała często u Wierzbowej, która, zajmując się stręczeniem sług i pożyczaniem zubożałym służącym pieniędzy na zastaw i procent, dostarczała jój sposobności zarobkowania, i po każdej burzliwej a próżniaczéj epoce jój życia, odrobiny pieniędzy, w zamian ostatnich nieprzepitych łachmanów i zobowiązań się na przyszłość ciężkich, odbierających ostatnią nadzieję wydobyć się z nędzy.

Kiedy Marcysia była jeszcze bardzo małą, Elżbietka przychodziła do Wierzbowej z dzieckiem na ręku i, wchodząc do chaty na długie a często burzliwe rozprawy, zostawiała je przed progiem. Wtedy Marcysia staczała się czasem po ślizkiej trawie, lub przymarzłym błocie, okrywającym stromą ścianę jaru, i wpadała do zielonawéj sadzawki. Woda była tam spokojna i z brzegów płytka, niemniej dziecko, ogłuszone upadkiem, stłuczone i przestraszone, traciło przytomność i nie miało. Ratował ją wtedy Władek. W oka mgnieniu, kilku podskokami zbiegał on na dno jaru, wchodził w wodę po kostki, a czasem po kolana, brał dziewczynkę na ręce, a dlatego, żeby prędzéj oschła i oprzytomniała, sadzał ją niby na krześle, pomiędzy dwiema grubemi i wykrzywionemi gałęziami wierzby. Tam ogrzewało ją słońce i osuszał wiatr. Władek, zawieszony sam na gałęzi, w trwodze, aby nie spadła z drzewa, trzymał ją za kołnierz grubéj koszuli; a czasem, gdy włosy jój stały się już gęste i dość długie, – za włosy. Marcysia, budząc się z omdlenia, spostrzegła, że znajduje się na drzewie, i taką to

ją napełniało radością, iż zapominając o przebytej katastrofie, wybuchała długim, głośnym chichotem. Władka nie lękała się nigdy, bo, patrząc na nią wtedy, śmiał się zawsze.

– Jakaś ty zabawna! – wołał – toczysz się w dół, jak piłka, i **pluś!** do wody! Gdyby mnie nie było, została-byś w sadzawce i zjadły-by cię żaby!

Na to straszne przypuszczenie, Marcysia szeroko otwierała oczy i zapytywała:

– **Dzie ziaby?**

Zaledwie umiała wtedy mówić, a Władek, starszy od niej o trzy lata i posiadający już spory zasób doświadczenia życiowego, śmiał się do rozpuku z niewyraźnego i pieszczotliwego jej szczebiotu. Przedrzeźniając ją, mówił:

– **Dzie ziaby?** nie widziałaś jeszcze żab! to dobrze! zaraz ci je pokażę!

Brał ją na ręce i znosił z drzewa, a potem szedł brzegiem sadzawki, szukając zielonych żabek, których tam znajdowała się moc wielka. Bosy był i w grube płótno odziany, a malutka dziewczynka bosa także, w roztwartej u piersi i mokrej jeszcze koszuli, szła za nim po trawie, która na wilgotnym, niskim gruncie, bujnie rosła i dosięgała czasem kolan chłopca a jej ramion.

Nie zawsze zajmowały ich żaby. Czasem, siedząc z nią na drzewie, pokazywał jej upatrzone już wprzód gniazda ptasie i, schyleni nad kołyszącą się pod nimi gałęzią, z otwartymi ustami i zapartym w piersiach oddechem, przypatrywali

się małym stworzeniom, wychylającym z gniazda główki, okryte skosmaconém pierzem i oczekiwali przylotu matki. Gdy przylatywała, nie śmieli wzajem oznajmiać sobie o tém najcichszym szeptem, tylko tręcali się łokciami, wyciągali w kierunku gniazda wskazujące palce, a obie twarze ich oblewały się wyrazem nieopisanéj radości.

Niekiedy, spuściwszy się z drzewa, wchodzili pomiędzy dzikie krzewy, wielką gęstwiną obrastające jeden bok sadzawki, obrywali i zjadali drobny, zdziczały agrest, lub wstrząsali z całych sił swoich berberysowemi krzakami, aby spuścić sobie na głowy, ramiona i pod stopy deszcz koralowych jagód.

Wszystkie zabawy te trwały póty, dopóki w górze nie ozwał się głos Elżbietki, niespokojnie i niecierpliwie wołającej Marcysi. Dziewczynka, na wołanie to, śpiesznie i gorliwie zaczynała wdrapywać się na ścianę jaru; ale gdy usiłowania jéj w téj mierze okazywały się bezowocnemi, Władek brał ją na ręce i uszczęśliwioną, śmiejącą się, w szerokich podskokach, wnosił na górę.

Elżbietka, która od Wierzbowéj wychodziła najczęściej zapłakana, a nierzadko na-pół już tylko przytomna, (wieść niosła, że Wierzbowa, dla lepszego ciągnięcia z nich korzyści, usiłowała rozpajać swoje klientki), ujrawszy Marcysię, porywała ją z rąk chłopca z gwałtownością taką, że śmiech jéj w mgnieniu oka zmieniał się w płacz. I gdy Elżbietka z gniewném mručeniem, lub posepnie spuszczonej oczyma, zstępowała w dół, ścieżką ku przedmieściu wiodącą, dziewczynka wciąż

oglądała się i oczyma, w których lży stały, szukała Władka. On stał najczęściej u szczytu ścieżki, i dopóki nie zniknęła mu z oczu, podskakiwał, wyrzucał nogami i wykrzywił się do niej tak, że znowu na głos cały śmiać się zaczynała. Czasem rzucał za nią, zerwane w jarze, pęki berberysowych gałęzi, a ona wyciągała po nie ręce i, zwieszona cała na ramieniu matki, podskakiwała tak, jakby ku niemu ulecieć chciała.

Raz, gdy, mając już lat pięć, przyszła tam z matką, Władek zapytał ją, dla czego sama nie przychodzi nigdy do jaru.

– Boisz się, czy drogi jeszcze nie znasz? – mówił. – Jeżeli boisz się, toś głupia, bo wilki cię tu nie zjedzą, a jeżeli drogi nie znasz, to kiedy z matką idziesz, lepiej oczy wytrzeszczaj! Wielka już jesteś, możesz sama po świecie chodzić!

Po krótkim namyśle dziewczynka rzekła:

– Jutro przylecę!

– Przyleć! – odpowiedział, i z powagą dodał: – do miasta cię zaprowadzę. Zobaczysz, jak tam ładnie!

Niewiadomo, czy perspektywa jutrzéjszój samodzielnej wyprawy nie dała nocy téj spać Marcysi, czy téż zbudziła ją matka, która o brzasku dnia zerwała się z nędznej pościeli, chwyciła garstkę drobnój monety, otrzymanej wczoraj od Wierzbowój i wybiegła na miasto; dość, że sine poranne mgły owijały jeszcze jar i zwieszoną u ściany jego chatę, gdy ukazała się ona oczom Władka. Władek, który noc przespał pomiędzy wierzbami, tylko co obudził się i, siedząc nad sadzawką z łokciami opartymi na podniesionych kolanach i brodą w

dłoniach, zaspanemi oczyma wpatrzony w nieruchomą wodę, głęboko dumał. Dziewczynka zawołała go z góry. Podniósł głowę i, ujrawszy drobną jej postać, szarzejącą wśród siniej mgły, odkrzyknął:

– Chodź!

Zaczęła zstępować z góry, ale szło jej to z trudnością nadzwyczajną. Ślizgała się na pochyłości, padała, podnosiła się i siadała znowu. Władek na wysilenia te jej i niepowodzenia patrzył z niewzruszoną obojętnością.

– No, dalej! – mówił – dalej-że! śmiało! Upadłaś! nic nie szkodzi! nie rozbijesz się! szklana nie jesteś!

Szklana nie była w istocie, ale gdy poślizgnęła się ostatecznie i jak piłka stoczyła się w dół nad sam brzeg sadzawki, wrzasnęła głośnym płaczem. Zbliżył się do niej i spojrzał na nią ze wzgardliwym politowaniem.

– Ot, jakie to te dziewczyny – rzekł – jak ja byłem w twoim wieku, tom już po górach skakał i po drzewach łaził, jak koza. Jeżeli będziesz wrzeszczeć – dodał – schwycę cię zaraz i het precz! za rzekę i miasto zarzucę...

W mgnieniu oka płakać przestała, a gdy wyjął z za koszuli kawał czarnego chleba i przełamał go na dwoje, patrzyła na niego z uśmiechem błogięj nadziei na łzami zalanęj twarzy. Wyciągnęła rękę i zawołała:

– Daj! daj! daj!

Siedzieli potem obok siebie, pod krzakami berberysu, ociekającymi poranną rosą, i gryźli w milczeniu twarde kromki

chleba. Mgła gęsta i podobna do sinego dymu, która o świcie dnia napełniała jar aż po brzegi, przerzedzać i w górę podnosić się zaczęła; spowite w nią wprzód wierzby wysuwały teraz z za niej gałęzie, niby ręce z pieluch odwijanych stopniowo; srebrnawe ich liście drżały z cichém furczeniem, a na każdym z nich błyszczał brylant rosy. Na ciemną powierzchnię sadzawki spadł długim węzłem złoty promień słońca i, dosięgłszy przybrzeżnych ajerów, rozsypał się na długich liściach ich w tak wielki rój iskier, że ścigające go wzrokiem dzieci jednocześnie zakryły dłońmi olśnione swe oczy. Gdy odjęły ręce od mrużących się powiek, wysokie ajery stały przed nimi w ogniu całe, za nimi ściana jaru wznosiła się, jak gorąco-różowa skała, w wierzbach i głogach ogłuszająco śpiewały ptaki, mgły sinéj nie pozostało już ani śladu, tylko powietrze przejęte było jeszcze chłodną wilgocią nocy i niziny.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.